

Dodatek bezpłatny do Nru 78

GŁOSU NARODU.

Kraków dnia 19 marca 1905.

POPIELEC.

Po wesołych dniach zapustnych następuje środa popielcowa, od której zaczyna się post 40-dniowy, oddawna uroczyście w Polsce obchodzony. O północy z wtorku na środę, wedle zwyczaju, przyjętego przez naszych praojców, milkną pieśni weselne, a ich miejsce zajmują »gorzkie żale« i medytacje nad męczeńskim zgonem Zbawiciela świata. Tę chwilę przełomową na zegarze dziejowym nasz lirnik wioskowy, Syrokomla, tak maluje w poemacie swoim »Dni doroczne«:

Lecz kapela takt urywa,
I w pół taktu taniec stawa:
Bije północ... swoje prawa
Święty kościoł odzyskiwa.
»Do pokuty! do pokuty!«
Dzwon zajęczał z pośród wieży.
Ścichnął gwarny tłum młodzieży,
Stanął w miejscu, jak przykuty.

Chwilę tę przed wiekami, bo za czasów Zygmunta III, w tych słowach określił Kasper Miaskowski (1549—1622), twórca wielu poezji religijnych:

Zeszła noc, a miedź święta*) woła do popiołu:
Od mięsa, od muzyki i hojnego stołu!
Jedni idą zwiesiwszy do kościołów głowy,
Którym w komży ksiądz sypie popiół z temi słowy:
Pamiętaj to, żeś z prochu powstał i zaś w ziemię
Rozsypiesz się, i wrzucą-ć do kośnice ciemię**).
I tak idą skruszeni do domów w południe,
Po mszach i litanjach, a znać nieobłudnie.

We środę popielcową, czyli wstępną, jako w pierwszy dzień postu i pokuty, Kościół katolicki poświęca popiół i posypuje nim głowy wiernych dla przypomnienia im, ażeby rozmyślali o śmierci, na którą przez grzechy swoje zasłużyli. Zwyczaj ten przez ojców naszych od wieków z nabożeństwem był przestrzegany. Nawet za czasów saskich w Polsce, gdy zepsucie w kradło się do wielu ognisk domowych i osłabiło uczucia religijne w pewnych sferach narodu, o popielcu zawsze pamiętano. Ks. Andrzej Kitowicz w „Opisie obyczajów za Augusta III.“ tak się o uroczystości tej wyraża:

„Na popielec zjeżdżali się i schodzili do kościołów wszyscy, a nawet najwięksi panowie nigdy go nie opuszczali. Dla tych, którzy nie mogli przyjąć tego obrządku w Wstępną środę, mianowicie po wsiach, powtarzano go drugi raz po kościołach w pierwszą niedzielę postu. Taka zaś była jeszcze pobożność polaków w latach początkowych panowania Augusta III, że nawet chorzy, nie mogący przyjąć popielcu w kościele, prosili o niego, aby im był dany w łóżku. Lecz pod koniec panowania powyższego króla, gdy wiara stygnąć zaczęła, popielec ledwie miał ciżbę do siebie w kościele i to najwięcej od pospólstwa, po domach zaś go rozdawać zaniechano.“

Tenże kronikarz opowiada, iż swawolna młodzież z kultu religijnego zrobiła sobie zabawkę, którą dość szeroko uprawiano po małych szlacheckich dworkach i w miastach między pospólstwem. Zabawka polegała na tem, iż młodzież trzepała się po głowach workami popiołem napełnionymi, albo też podstępnie wysypywała popiół na głowę. Byli znowu dowcipnisie, którzy przed przechodniem rzucali garnki napełnione popiołem, wołając: „Popielec, mości panie! lub: mościa pani!“

Istniał też oddawna w Polsce zwyczaj przyczepiania pannom i kawalerom we środę po-

*) dzwon
**) czaszka

pielcową t. zw. klocków dla wyszydzenia ich, że w ub'egłe zapusty nie stanęli na ślubnym kobiercu. Swawolnicy czatowali zwykle wchodzącą do kościoła młodzież płci obojej i znaracka ubierali ją w kurze lub indycze łapy, kawałki drzewa, kości albo skorupy jaj, które bardzo zręcznie przyczepiali na wierzchnie ubranie, narażając tym sposobem niewinne ofiary pustoty na śmiechy. Zwyczaj przyczepiania klocków wśród pospólstwa do dziś się przechował po miastach i miasteczkach.

W pierwszych dziesiątkach lat ubiegłego stulecia miała Warszawa swoją osobliwość popielcową, która dziś już znikła z jej widowni i pozostała tylko wspomnieniem, zapisanem na karcie zwyczajów i obyczajów syreniego grodu. Osobliwością tą była wesoła uczta, wyprawiana przez rzeźników warszawskich w Wilanowie, gdzie na stołach biesiadnych zamiast śledzi i kartofli w mundurach stały mi y z różnem mięsiwem, pozostałem po zapustnych »ostatkach«. Po uroczystości kościelnej cała Warszawa na zakończenie uciech karnawałowych saniami lub na kołach podążała do dawnej siedziby zwycięzcy z pod Wiednia, ażeby użyć świeżego powietrza i zblizka przyjrzeć się uczcie popielcowej, corocznie przez cech rzeźników wyprawianej. Naoczny świadek tych wycieczek wilanowskich K. Wł. Wójcicki zaznacza, iż w r. 1821 z podziwem spoglądała Warszawa na ogromne sanie w ośm białych dzielnych koni zaprzężone, w których siedziały słynne piękności arystokratyczne w towarzystwie najpierwszych z eleganckiej młodzieży, posiadającej jej względy. Do pięciuset sanek pognało za nimi, i Wilanów niespodzianie ujrzał naraz kilka tysięcy gości.

Wszystkie dawne zwyczaje, związane z dniem popielcowym przeszły do historji; dziś pozostał nam tylko kult religijny, który czcimy z równą, co i dziadowie nasi pobożnością.

H. S.

MUKDEN.

Mukden, który po najkrwawszej w dziejach ludzkich walce zajęli Japończycy, jest najstarszem i najsławniejszem miastem mandżurskiem.

Mukden jest kolebką obecnej dynastji cesarskiej. Według kronikarzy chińskich, założenie tego prastarego miasta przypada na wiele tysięcy lat wstecz. Tu znajdują się starożytne pałace cesarskie i groby dynastji, stanowiące świętość panującej rodziny, jak również narodu chińskiego. Chińska nazwa Mukdenu brzmi Szeń-Jań, co znaczy „święte miasto".

Mukden leży na wzgórzu, które z jednej strony oblewa rzeka Liao. Miasto, liczące 300.000 mieszkańców, w tem około 80.000 Chińczyków, leży o jakie pół wiorsty od stacji kolejowej. Zaraz przy w jeździe z dworca do miasta wita przybysza starożytny klasztor malajski o dziwacznych niesłychanie kształtach W tym klasztorze urządził sobie w swoim czasie główną kwaterę były namiestnik Aleksiejew, otoczony całem olbrzymiem miastem baraków i namiotów rosyjskich.

W pobliżu klasztoru znajduje się dom chińskiego ambasadora (gubernatora) Urządzenie tego domu jest niesłychanie prymitywne. Meble są stare i brudne, w sypialni zamiast łóżek długie drewniane ławy, przykryte tanimi dywanami.

Miasto całe jest otoczone murem, długim 20 kilometrów, a grubym na 6 do 10 metrów. Na początku i na końcu każdej ulicy znajdują się olbrzymie i potężne bramy, jeszcze i teraz na noc troskliwie zamykane. Na wszystkich prawie ulicach obok niezliczonych kramów, straganów i sklepów, znajdują się także herbaciarnie, których Chińczycy oddają się paleniu opjum.

Do osobliwości Mukdenu należy położona na końcu bazaru świątynia bogów, otoczona kamiennym murem, wewnątrz którego rosną święte sosny. Wewnątrz świątynia jest wymalowaną niezwykle pstro i różnobarwnym papierem wylepiona. W środku świątyni znajduje się ogromna szczerozłota statua Buddy, przed którą pali się ciągle olej w dużych płaskich wazach. Tu także klęczą nabożni z płonącymi wiechciami słomy w ręku i odprawiają swe nabożeństwa.

Największą jednak osobliwością są pałace i groby cesarskie, których bez pozwolenia gubernatora oglądać nie wolno. Pałac cesarski jest to budynek czysto chiński, z powykręcanym i grubo złoconym dachem, najeżonym mnóstwem wieżyczek. Wejść strzegą straże ze starożytnemi halabardami w ręku.

Groby cesarskie »Czaolin« są oddalone od miasta o pięć kilometrów. Mieszczą się w nich śmiertelne szczątki wszystkich przodków obecnej dynastji. Park, w którym się znajdują groby, uchodzi za najpiękniejszy na kuli ziemskiej. Park przecina mnóstwo cienistych alei i prześlicznych klombów kwiatowych. W każdej aleji znajduje się pagoda.

W środku parku znajdują się groby wschodnie Tung Ling, w których spoczywają władcy

Mandżurji. Szczególną czcią cieszy się tu grób zmarłego w siedmnastym wieku Teifuna, który ostatecznie utwierdził swój ród na tronie chińskim i nadał mu przydomek „Daftun". Groby cesarskie tworzą wysoki kopiec, na którego szczycie rośnie święte drzewo. Znajduje się tu mnóstwo przedmiotów o niezmiernej historycznej i archeologicznej wartości, od północy groby otoczone grubym wałem ziemnym, który ma bronić przystępu złym duchom. W wale tym znajdują się dzwony, które odzywają się zawsze, ilekroć się otworzy. Od bramy środkowej do właściwych grobów prowadzi brukowana aleja kamiennych posągów zwierzęcych: lwy, tygrysy, słonie, osły, konie, ustawione są na wysokich granitowych piedestałach po obu stronach aleji. Pobyt w samych grobach musi być bardzo krótki, tak, że grobów nigdy dokładnie obejrzeć nie można. Dawniej władcy Chin zwykli byli bodaj raz w życiu odwiedzać Mukden, aby się pomodlić na grobach przodków. Ale od stu lat przeszło obyczaj ten puszczono w niepamięć.

Wiązanka luźnych myśli.*)

Dnia 3-go lutego był jakiś dziwny poranek po niezwykle wietrznej nocy, którą określam krótkiemi słowy »nasza zwykła zadymka«; — poranek był niby pogodny, chwilowo jednakże słychać było jeszcze złowieszczy szum wiatru. Stanąłem w oknie mojej — a raczej dyrekcyjnej izby, i wsłuchując się w przeraźliwe akordy Apolina, spojrzałem na obnażone z liści dwie topole; nie te piramidalne włoskie, lecz te drugie — rozłożyste, o których mówiono mi, że to są nasze topole.

Dziwnym wybrykiem natury, drzewa te były pochylone w jednę stronę: — z zachodu na wschód; od dołu były one niezwykle grube, w górze ich rozsochate konary były między sobą powikłane, kończyny ich, gdy podął silniejszy wiatr; skutkiem powikłań trącając jedna o drugą, łamiąc się spadały na ziemię. Co widząc, — pomyślałem, dlaczego gałęzie spadają na ziemię?

I w mózgownicy mojej zformowało się kilka następnych odpowiedzi.

1. Gdyby owe topole nie były parte wiatrami wiejącymi z zachodu, byłyby wyrosły pionowo, i wówczas uniknęłyby powikłań: — a tem samem nie zawadzając jedna drugiej, nie obłamywały-by sobie wspólnie gałęzi. Wreszcie, wiatr jest na to, aby parł, — oczyszczając powietrze z nagromadzonych w niem wyziewów; a że tam skutkiem tego spadło kilka gałęzi! — a to i dobrze; boć pierwszy zdrowo myślący, — a przyciśnięty niedostatkiem biedak, gałęzie pozbiera, zaniesie do chaty, i rozniеci z nich ogień, — przy którym ogrzeje się, lub ugotuje strawę. Tak! z wiatru i oporu drzew, skorzystał biedak.

2. Przemknął mi przed oczyma humorystyczny rysunek, który kiedyś gdzieś widziałem: obrazek ten przedstawiał tłustą krowę, którą za rogi ciągnął ku sobie jakiś sprytny skośnooki człeczyna — lilipucich rozmiarów; w przeciwną zaś stronę jakiś brodacz-herkules, bez żadnej żenady ciągnął krowę za ogon; zaś obserwujący to z boku wysoki i cienki jak tyka, jegomość z monoklem w oku w stroju balowym, po krótkim namyśle, zdjąwszy z swej głowy błyszczący cylinder, i podsunąwszy go z dynstykcją pod wymię krowy, — wydoił ją najspokojniej, następnie oddalił się szybko, czego szamotający się zapaśnicy nawet nie zauważyli. Tak! ten trzeci znowu skorzystał, a ci dwaj ciągnęli dalej nieszczęsną krowę, każdy w swoją stronę, naprężając swe mięśnie coraz silniej.

Te, i tym podobne myśli plątały mi się po głowie: spojrzałem znowu na topole, stały nieruchome, wiatr dąć przestał; nastąpiła cisza, »cisza — zwiastun burzy!«

Na raz doleciał do mych uszu sygnał trąbki! — alarm pożaru! wybiegłem na ulicę; w centrum zakładów, w budynku, w którym gdzie patrzał tłum; i poczułem, że włosy najeżyły mi się na głowie, gdyż zoczyłem, zoczyłem, nie tłum, nie rzeszę! lecz nieprzejrzaną okiem falę! — falę głów ludzkich. Fala ta kołysząc się niby stumorgowy łan pszeniczny, wolnym — miarowym krokiem, zbliżała się aby połączyć się z stojącym podemną tłumem.

Prowodyry fali, złączeni jeden z drugim silnemi ramiony, tworzyli braterski; łańcuch, zdawało mi się patrząc, że fala ta — to wszyscy i jeden: w pośrodku żywego łańcucha postępującego na czele, na rękach jednego z prowodyrów było dziecię ubrane w barchankę czerwonego koloru; dziecię to, urodzone widocznie na śmietniku nędzy, było bardzo mizerne, lecz z ocząt jego błyszczały gwiazd krocie! jedną z wychudłych swych rącząt ogarniało szyję swojego zapewne ojca, drugą zaś stojącemu podemną tłumowi wysyłało od

*) Obrazek powyższy nadesłano nam z Dąbrowy górniczej w Królestwie Polskiem, jako utwór jednego z górników tamtejszych, natchniony ostatnimi krwawymi. Wszystkie stylowe właściwości autora pozostawiliśmy, nie chcąc zacierać jego cech oryginalnych.

nagromadzono różne potrzebne — i niepotrzebne przedmioty, wybuchł pożar. Dziwne! z czego mógł wybuchąć pożar? gdyż budynek nie był ani ogrzewany ani oświetlany. Prawdopodobnie skutkiem długo leżącego różnego balastu, w miejscu gdzie nie było czystego powietrza, materjały łatwo palne, zagrzały się; z czego następnie wytworzyły się gazy, te zaś, znalazłszy ujście przez szczeliny, bardzo łatwo zapalić się mogły od najmniejszej iskry.

Koniec końców, pożar wybuchł, należało go stłumić,: rozpoczęto akcje ratunkową. Wyprowadziliśmy z na wpół rozwalonej szopy starej konstrukcji sikawki, które źle funkcjonowały; wprawdzie reklamowano kilkakrotnie zarządzającemu zakładami od lat kilku, aby zrobiono generalny przegląd narzędzi ogniowych, które pozostawiały wiele do życzenia, lecz ten przejrzał tylko ilustrowane cenniki nowych narzędzi ogniowych, i zaopinjował, że potrzebuje pierwej porozumieć się z właścicielami zakładów, czy opłaci się sprowadzić tak drogie maszyny do gaszenia pożaru; wreszcie w razie pożaru, można przecie liczyć na pomoc miejskiej straży z pobliskiego miasta, w dniu zaś o którym mowa, straż miejska wezwana zastała do groźnego pożaru, który wybuchł o wiost kilkadziesiąt, gdzie wyjechała specjalnym pociągiem.

Stali tedy bezradni, wszyscy komenderujący zakładami z głównym rządcą na czele; my zaś robotnicy w zbitej masie naprzeciw nich. Naraz okrzyk! Gore w sąsiednich zakładach! zbita masa tłumu, w której stałem, kołychnęła się w stronę bramy wychodowej, naraz zatrzeszczało mi pod nogami, i poczułem, że pogrążam się w jakąś przepaść, wpadłem w czeluść napełnioną brudną, gorącą wodą. Co później działo się ze mną — nie pamiętam.

Gdym przyszedł do przytomności, rozejrzawszy się spostrzegłem, że znajduję się w szpitalu. Leżący około mnie również chory towarzysz, opowiedział mi, że podczas pożaru stojąc na nadgnitych deskach, któremi zakryty był otwór do kanału, wpadliśmy obydwaj; towarzysz mój był tylko lekko poparzony, ja zaś wpadając uderzyłem się w głowę o wystającą jakąś szrubę, wstrząśnięcie widocznie było straszne, gdyż wyciągnięto mnie nieprzytomnego i bardzo poparzonego, z czego następnie wywiązała się silna gorączka, wpadłem w malignę, a co mi się wówczas majaczyło, to postaram się streścić.

W głowie czułem okropny chaos, — stałem gdzieś na dachu wysokiego budynku, który ogarniały płomienie, skutek płomieni odczuwałem na całym mym ciele; spojrzawszy na dół spostrzegłem znowu zbitą masę ludu, złożoną przeważnie z znajomych mi twarzy, tłum ten z wytężonym wzrokiem ku zachodowi, wyjąc urywanymi wykrzyknikami, zdawał się oczekiwać kogoś: spojrzałem w stronę swej buzi gesta pozdrowienia — przywitania! i stało się wówczas coś co tylko zdołałem odczuć, wyrazić tego nieumiem. Zwarła się fala z tłumem; tysiące spracowanych dłoni wyrzuciło w górę swe zabrudzone i przesiąkłe potem czapki! i z dwudziestotysięcznej gardzieli wypadł okrzyk: Sprawiedliwości! — praw ludzkich!

Następnie podrzucono w górę dziecię w czerwonej barchance, i znowu dwadzieścia tysięcy par zdartych i pokrytych nagniotkami, twardych od pracy dłoni, wzniosły się w górę, aby dziecię padające, nie poniosło szwanku.

I ruszyła fala dalej zwiększona nowymi zastępami; poszła! rzucając po drodze jakieś nasienie, nucąc hejnał jakiś rzewny niby pogrzebowy, a radosny.

Patrzyłem w tę falę, w twarze ich; począwszy od 15-to letniego wyrostka — do 60-cio letniego ojca rodziny, malowała się w nich żądza zdobycia czegoś! Czego? — tego, co jeżeli da się zdobyć, to musi być okupione krwią! łzami! pożogą!

Wreszcie spostrzegłem, że to już koniec tego huraganu, gdyż szeregi były coraz rzadsze; nareszcie szli już to po kilku — już to pojedynczo, maruderzy: i zdało mi się, że jestem pomiędzy niemi. Tuż obok mnie kroczył poważnie jakiś sędziwy człowiek, na jego zoranem licznemi bruzdami licu malował się jakiś nieugięty hart, w szerokiej swej dłoni dzierżył podróżny posoch, którym popędzał naprzód pozostających maruderów, co również zastosował i do mnie. »Panie! — rzekłem — ja z wami nie pójdę, — wszak widzisz, żem pokaleczony i chory. A on spojrzawszy na mnie — rzekł: »ciałem jesteś słaby, lecz duchem winien jesteś być mocnym, a mnie potrzeba tych i tamtych. Widziałeś te legiony? trzy czwarte z nich zginie! — zginą słabi charakterem, a tylko silni pozostaną, a rozmnażając się, utworzą jednolitą opokę, której, jak powiedział Chrystus, »bramy piekielne nieprzemogą«. Kilka pokoleń przeżyłem już na świecie! lecz nie zstąpie pierwej do grobu, dopóki niedam możności człekowi, aby zaspokoił wszystkie pięć zmysłów!

Panie! zagadnąłem znowu, dużo jeszcze wody upłynie, nim spełnią się Twe słowa:? Tak! dużo! — odpowiedział starzec; lecz tymczasem, wy widzicie i słyszycie tylko, resztę osięgną dzieci i wnuki wasze.

Kiwnął głową starzec, na znak pożegnania; mimowolnie zatrzymałem go za rękę: Panie! kiedy odchodzisz, powiedz mi tedy, z kim miałem szczęście mówić! Jakie twe miano?

Idea! — mruknął starzec, i powlókł się dalej...!

W Dąbrowie w lutym 1905.

A. Ł.